

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/kosciol/61068,Zaglada-syberyjskiego-Bialehostoku.html>



ARTYKUŁ

Zagłada syberyjskiego Białegostoku

Autor: ANNA ZECHENTER 25.12.2019

Wieś na południu Syberii nosząca swojską nazwę Białystok (ros. Biełostok) oraz sąsiednie miejscowości założyli przybywający tu od końca XIX w. polscy osadnicy. Dorabiali się na ziemi wydartej tajdze, po 1917 r. opierali kolektywizacji i ateizacji, aż w latach 1937-1938, w „operacji polskiej” NKWD, prawie wszyscy mężczyźni zostali zgładzeni.

„Z kościoła zrobili klub - staruszka żegna się szerokim krzyżem i głos jej się łamie. - My do klubu chodzili,

niczego nie rozumieli i tańcowali. A teraz proszę Boga, żeby nam to wybaczył, my nagrzeszyli, ale my nie wiedzieli”. Maria Markisz z polskiej osady Białystok w obwodzie tomskim – dokąd dotarła z kamerą Agnieszka Kaniewska, dokumentalistka polskich losów na Syberii – pamięta czasy grozy, które przeżyła jako małe dziecko. Jak w latach 1937–1938 aresztowano Polaków na mocy tajnego rozkazu 00485 ludowego komisarza spraw wewnętrznych Nikołaja Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. i prowadzonej równolegle operacji antykułackiej (rozkaz 00447 z lipca tegoż roku) i jak zgładzono prawie wszystkich mężczyzn w osadzie. W latach późniejszych była też świadkiem, jak władze sowieckie pamięć o polskości zabiły, a z kościoła zrobiono w 1957 r. tancbudę z wódką.

Gorączka syberyjska

Polacy z Białegostoku w obwodzie tomskim nie byli zesłańcami, nie pogały ich na Syberię carskie wyroki. Przyjeżdżali od końca XIX w. z własnej woli w szerokie bezkresy, w klimat ciężki, zimą skuwający wszystko lodem i niosący krótkie lata z plagą owadów – w tajgę, gdzie umiejętności nabyte w rodzinnych stronach, na Wileńszczyźnie, Grodzieńszczyźnie czy Białostoczczyźnie, na niewiele mogły się zdać. Polscy chłopcy wieźli ze sobą nadzieję na własne gospodarstwa, możliwość dorobienia się, może z czasem lżejsze życie. Błyskawiczny rozwój gospodarczy Syberii, przyspieszony reformami Piotra Stołypina, ministra spraw wewnętrznych cara Mikołaja II, ścigał rolników z biednych ziem na obrzeżach Imperium Rosyjskiego, gdzie gruntu nie starczało dla wszystkich, i dawał odważnym szansę budowy przyszłości – jeśli nie dla siebie, to chociaż dla dzieci.

Najpierw przyjeżdżali wysłannicy rodzin planujących pionierskie życie. Wybierali działki, załatwiali formalności z miejscowymi urzędnikami i wracali – po swoich. Państwo rosyjskie brało na siebie część kosztów przejazdu ludzi i zwierząt, zwalniało na trzy lata z podatków, dawało nawet po sto rubli bezzwrotnej zapomogi.

Polacy z Białegostoku w obwodzie tomskim nie byli zesłańcami, nie pogały ich na Syberię carskie wyroki. Przyjeżdżali od końca XIX w. z własnej woli w szerokie bezkresy, w klimat ciężki, zimą skuwający wszystko lodem i niosący krótkie lata z plagą owadów – w tajgę, gdzie umiejętności nabyte w rodzinnych stronach, na Wileńszczyźnie, Grodzieńszczyźnie czy Białostoczczyźnie, na niewiele mogły się zdać.

Pod koniec XIX i na początku XX w. na szybko rozwijającą się ekonomicznie Syberię przybywali – oprócz chłopów – polscy inżynierowie, mechanicy i robotnicy potrzebni przy budowie Kolei Transsyberyjskiej.

Nie byli pierwszymi Polakami, którzy dotarli tam w poszukiwaniu pracy. Poprzedzili ich jeszcze w XVII w. budowniczości warownych grodów – Tomska i Krasnojarska. I awanturnicy, tacy jak Nicefor Jaxa-Czernihowski z Wołynia, jeniec wojenny zesłany ok. 1632 r. na Syberię, po przejściu na carską służbę odpowiedzialny za rozwój rolnictwa nad Amurem. Po zabójstwie carskiego urzędnika, zbiegł na ziemie przygraniczne z Chinami i odbudował tam opuszczoną warownię. Z czasem wokół niej wyrosły osady, więc Czernihowski ogłosił się władcą małego państewka Jaxa, wchłoniętego w drugiej połowie XVII w. przez Chiny.

Według obliczeń Stanisława Thugutta, w 1911 r. na Syberii mieszkało ponad 43 tys. Polaków, a 60 proc. z nich stanowili chłopci. Władysław Masiarz jako pierwszy z polskich historyków ustalił na podstawie dokumentów z Rosyjskiego Państwowego Archiwum Historycznego w Petersburgu, że od połowy XIX w. do 1914 r. na Syberii istniało 59 wsi o przewadze ludności polskiej.

Przetrwać w głuszy

Władze petersburskie stawiały polskich osadników na Syberii za przykład kolonizatorów. W zachowanych źródłach, przytaczanych przez Stanisława Leończyka, pisano, że ich bogate domy, czasami dwupiętrowe, są zasobne i czyste:

„Na oknach białe firanki, podłogi często malowane. Zamiast charakterystycznych dla Rosjan ław – krzesła. W każdym domu znajduje się modlitewnik i kalendarz. Polacy żyją zamożnie i są przedsiębiorczy, zajmują się m.in. handlem bydłem”.

Urodzony w Białymstoku nad Obem Wasyl Haniewicz (Wasilij Chaniewicz) – badacz dziejów polskiej diaspory w południowej Syberii i członek Stowarzyszenia Memoriał – podaje, że w latach 1894–1907 do samej guberni tomskiej przybyło ok. 121 tys. chłopów z polskich ziem zaboru rosyjskiego. Części osadników dano do wyboru działki w gminie mikołajewskiej na lewym brzegu Obu, zaczęli więc nowe życie od sklecenia ciemnych ziemianek. Osadę ochrzcili swoją nazwą Białystok – żeby poczuć się jak w domu, żeby zachować więź z rodzinnymi stronami, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, skąd ich ród. Dziś młodzi mieszkańcy tamtych stron mówią o sobie, że mają dwie ojczyzny: ukochaną syberyjską tajgę, gdzie czują się leśnymi ludźmi, i Polskę – daleką, mityczną krainę przodków.

Walka o przetrwanie była mordercza, osadnicy karczowali tajgę pod pastwiska i uprawy, uczyli się bronić przed dzikim zwierzem i innymi nieznanymi im zagrożeniami. Pracy się nie bali, choć pewnie nie wyobrażali

sobie – podobnie jak ci z zaboru austriackiego, którzy wybrali drogę za Atlantyk – wszystkich trudów życia w nowym miejscu. Zapadali na ciężkie choroby, zostawali w obcej ziemi na zawsze, grzebali własne dzieci, najczęściej znoszące surowe warunki. Wielu niezdolnych podjąć morderczej pracy wracało na polskie ziemie. Według badań Haniewicza, w 1901 r. wyjechało 5 tys. rodzin przesiedleńców – zaledwie czwarta część z nich potrafiła przystosować się do syberyjskich warunków.

Postawić Boży dom

Przetrwac pomógł im kościół. Zaczęli go budować, zanim jeszcze wydzwignęli wokół niego własne solidne domy. Opodatkowali się dobrowolnie, po pomoc finansową stukali nawet do drzwi gubernatora w Tomsku. Zwozili drewno z lasu i stawiali ściany na wzgórzu. W 1910 r. na dachu pojawił się widoczny z oddali krzyż, a obok kościoła dzwonnica i duża siedmioizbowa plebania. Ogradzili kościół jak się patrzy, obsadzili drzewami, wytyczyli teren pod cmentarz. Patronem został św. Antoni z Padwy, a kilkanaście jego wizerunków umieszczono na bocznych ścianach.

Osadę ochrzczili swojską nazwą Białystok – żeby poczuć się jak w domu, żeby zachować więź z rodzinnymi stronami, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, skąd ich ród. Dziś młodzi mieszkańcy tamtych stron mówią o sobie, że mają dwie ojczyzny: ukochaną syberyjską tajgę, gdzie czują się leśnymi ludźmi, i Polskę – daleką, mityczną krainę przodków.

We wszystkich większych skupiskach Polacy walczyli o zezwolenia na budowę kościołów, ale władze często im odmawiały – działali zatem na własną rękę. W protokole z zebrania we wsi Kanok w guberni jenijskiej z lata 1900 r. przytoczono ich żale: „Żyjemy jak zabłąkane owce w lesie bez pasterza i koniecznych wskazówek dla duszy”. Ani gubernator, ani biskup prawosławny, u którego władze szukały rady, nie dali się przekonać. Odmówiono Polakom, bo było ich – jak argumentował gubernator – w okolicy za mało, a na domiar złego okazywali niechęć ludności prawosławnej. Zakasali zatem rękawy i bez pozwolenia wybudowali kościół z własnych środków w 1907 r.

Tymczasem białostoccy chłopci powoli zaczęli dorabiać się na ziemi wydartej tajdze, lata płynęły odmierzane

codzienną pracą, dzieci rosły. W 1916 r. osada liczyła już ponad 90 gospodarstw i 516 mieszkańców. Opiekę duchową sprawował nad nimi ks. Hieronim Cerpento (Cierpięto), po nim nastał ks. Mikołaj Michasionek.

„Do kościoła chodzili wszyscy, od malców po staruszków – Haniewicz przytacza wspomnienia Zoi Czerkaszyny. – Przychodził maj i wtedy codziennie byliśmy w świątyni. Mężczyźni stali po prawej stronie [...], kobiety z lewej, my, dzieciarnia, modliliśmy się na kolanach. Niektórzy z dorosłych także na kolanach. Mężczyźni raczej stali, a ławki były dla tych, którzy modlitwy z książeczki potrafili odczytywać. Chór był zawsze przystrojony. [...]. Pięknie i świątecznie było zwłaszcza w większe uroczystości kościelne. Przed Wielkanocą urządzaliśmy Drogę Krzyżową wokół kościoła, a dwa dzwony nieustannie dzwoniły. Daleko było je słychać”.



Kościół św. Antoniego z Padwy
wybudowany w 1907 r. Fot.
sybir.bialystok.pl

Cisza przed burzą

Kataklizm roku 1917 obszedł się z Białymstokiem względnie łagodnie – najgorsze miało dopiero nadejść. Położenie w głuszy odsunęło na krótki czas dziejową zawieruchę od osady. Pojawili się wprawdzie witalni z niechęcią agitatorzy marksistowscy, usiłujący przekonać chłopów, że Boga nie ma, ale uciekali, wyzywani od antychrystów. Dopiero pod koniec 1920 r. komuniści zarekwirowali plebanię i zamienili ją w szkołę, a trzy lata później przegnali ks. Michasionka.

Obu kapłanów białostockich spotkał ten sam los co prawie wszystkich duchownych w ZSRS: ks. Cerpento,

aresztowany przez bolszewików w 1926 r., potem zwolniony na kilka lat i ponownie uwięziony, został rozstrzelany w 1938 r. w Krasnojarsku, a ks. Michasionek, zesłany na Sołówki, zmarł w 1933 r.

Pojawili się wprawdzie witani z niechęcią
agitatorzy marksistowscy, usiłujący przekonać
chłopów, że Boga nie ma, ale uciekali,
wyzywani od antychrystów.

Kościół jednak trwał, nabożeństwa odprawiał w nim dojeżdżający z Tomska proboszcz, ks. Julian Groński. Dzwony dalej dzwoniły, wierni przyjmowali sakramenty, grzebali zmarłych, brali śluby i chrzcili dzieci. Policja polityczna OGPU zabrała ks. Grońskiego w 1931 r., a sowiecka rada wiejska zamknęła świątynię. Ale budynek ostał się nietknięty, bo determinacja parafian powstrzymywała bolszewików przed obróceniem go w ruinę. Jednak dzwony i krzyż – symbole „zabobonu i zacofania” – zniszczono.

„Przy ściąganiu dzwonów wyprowadzono ze szkoły wszystkich uczniów i nakazano im ciągnąć za sznur, oczywiście w celach wychowawczych, ponieważ nikt z dorosłych się nie zgłosił – odnotował Wasyl Haniewicz, cytując świadectwa najstarszych białostoczan. – Niezbyt mocno ciągnęło towarzystwo za sznur, a może za mało było sił: dzwon, spadając, uderzył w gzyms, połamał go, upadł na ziemię i sam pękł. Uszkodzone dzwony potem wywieziono końmi do rejonu, krzyż oddano dzieciom do zabawy”.

O losie świątyni przesądziła dopiero ludobójcza „operacja polska” NKWD.



**Pomnik ofiar NKWD w
syberyjskim Białymstoku. Fot.
www.gulag.museum.org**

Zabić ducha wspólnoty

Bolszewicy uderzyli w żyjących na odludziu mieszkańców Białegostoku na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX w. polityką kolektywizacji – przymusowego wcielania ziemi do kołchozów i zmieniania chłopów w „wiejski proletariatus”. Polacy uparli się, że ziemi nie oddadzą. Nie skutkowało ani rozkułaczanie, ani areszty, ani płomienne mowy agitatorów. W 1930 r. we wsi znalazł się jeden chętny, a kolejne lata – aż do 1934 r. – nie przyniosły zmian. Chłopi trwali z uporem przy swoim.

Tymczasem psychozę wojenną Józefa Stalina i jego otoczenia spotęgowało podpisanie w 1934 r. przez Rzeczpospolitą paktu o nieagresji z III Rzeszą, uznanego przez późniejszego generalissimusa za kolejny element tajnego porozumienia przeciwko ZSRS oraz przejaw zacieśniania się „kapitalistycznego okrążenia” wokół Sowietów. Ruszyła kolektywizacja rolnictwa, bo władze żywiły nadzieję, że w konsekwencji tworzenia kołchozów spora część siły roboczej trafi do budowy przemysłu ciężkiego, niezbędnego do produkcji zbrojeniowej.

Białystok znalazł się na froncie walki o kołchozy – przeciwko Polakom wystąpiło NKWD. Organy zajęły się zbieraniem i fabrykowaniem kompromatów na rolników najbardziej niechętnych kolektywizacji. W 1935 r. ośmiu z nich aresztowano i urządzono im proces pokazowy w Narymie.

Śledztwa pozrywały więzi rodzinne i sąsiedzkie, ludzi zmuszano do donoszenia na bliskich, przesłuchania ciągnęły się godzinami. Sowiecki system odniósł wreszcie zwycięstwo: unicestwił ducha wspólnoty. Wyroki od trzech do dziesięciu lat łagru miały złamać wieś – i tak się stało. Zniszczono nie tylko wzajemne zaufanie, tak ważne w wiejskiej społeczności, lecz także chęć oporu.

Kołchoz pod polsko-rosyjską nazwą „Krasnyj sztandar” powstał błyskawicznie, a pojedyncze gospodarstwa indywidualne pozostałe poza nim znalazły się pod pręgierzem, systematycznie tępiące aż do ostatecznej likwidacji.

Forpoczty terroru

Enkawudziści, którzy w 1937 r. przystąpili do systematycznej eksterminacji polskiej ludności na terytorium Sowietów, siali postrach nie tylko na ukraińskich i białoruskich terytoriach dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów – docierali z terrorem „operacji polskiej” do najmniejszych osad na Syberii i tam „tropili polski brud”, by zacytować Stalina.

Do pierwszych aresztowań doszło w Białymstoku 13 sierpnia 1937 r. Ku zdumieniu mieszkańców zatrzymywano gorliwych zwolenników kolektywizacji. Ale taka właśnie była wewnętrzna logika Wielkiego Terroru: przetrzebić szeregi jego wykonawców – żeby żaden z nich nie zawahał się przed wydaniem bliskich w ręce NKWD i żeby każdy wiedział, że za nie dość gorliwe zwalczanie polskiego wroga grozi kula. Pierwszych

sześciu zatrzymanych, m.in. dyrektora szkoły Piotra Czerwonego, zaciętego komunistę, i Wasyla Daszczuka, przewodniczącego rady kołchozu, czekiści rozstrzelali jeszcze w tym samym roku.

Białystok znalazł się na froncie walki o kołchozy – przeciwko Polakom wystąpiło NKWD. Organy zajęły się zbieraniem i fabrykowaniem kompromatów na rolników najbardziej niechętnych kolektywizacji. W 1935 r. ośmiu z nich aresztowano i urządzono im proces pokazowy w Narymie.

Relacje ich rodzin zebrał po latach Wasyl Haniewicz. Dziewięcioletni wtedy syn Czerwonego, Włodzimierz, wspominał: „Ojca aresztowano wczesnym rankiem. Przeprowadzono rewizję, która skończyła się przed obiadem. Zabrali dwie strzelby, nóż myśliwski, mnóstwo książek, korespondencję ojca z jego rodzicami i siostrą z Polski. Siostra ojca, mieszkająca w Nowogródku w Polsce, wyszła za mąż za oficera straży pożarnej i przysłała nam swoją ślubną fotografię na pamiątkę. I to zdjęcie zabrano dla wykazania związków ojca z polskimi oficerami... Tatę zabrano i więcej go nie zobaczyliśmy”.

„Miałam sześć lat, ale wszystko dobrze pamiętam, także z opowieści mamy – napisała Wiktoria Daszczuk. – My, dzieci, byliśmy tego dnia w przedszkolu, kiedy mama przysłała po nas cała zapłakana i szybciej nas zabrała. W domu wszystko było poprzewracane i walało się na ziemi. Pamiętam słowa mamy, że nawet Biblię rozerwali i rzucili na podłogę. [...] Następnego ranka mama poszła do wiejskiej rady, gdzie tymczasowo trzymano aresztowanych. Pilnowała ich straż, która pozwoliła porozmawiać z ojcem. Mama spytała go: »Czy przyprowadzić dzieci?« Odpowiedział: »Jeszcze wcześniej, pewnie śpią«. Jednak tego ranka aresztowanych wywieziono i więcej nie ujrzeliśmy już naszego ojca”.

Strach padł na osadę, a rodziny aresztowanych zaczęły suszyć chleb i gromadzić zapasy na wypadek deportacji.

Polska pajęczyna na Syberii

Za eksterminację mężczyzn w polskich osadach na Syberii w latach 1937–1938 odpowiadał Grigorij Gorbacz,

szef NKWD na Syberii Zachodniej. To on organizował i nadzorował „oczyszczanie” terenu z Polaków w ramach walki z widmem wymyślonej przez NKWD dywersyjnej siatki oplatającej jakoby obszar całego ZSRS, a zorganizowanej przez „kontrrewolucyjną” Polską Organizację Wojskową. Za jedną z nici pajęczyny POW Moskwa uznała fikcyjny Polski Komitet Syberyjski ze znanym w Tomsku polskim komunistą Władysławem Filipowiczem (właśc. Bogumiłem Kęszczyńskim lub Kęsickim) na czele. Do grona przywódców Polskiego Komitetu Syberyjskiego zaliczono trzech księży: Antoniego Żukowskiego z Tomska, Juliana Grońskiego z Nowosybirsk – administratora Wikariatu Apostolskiego Syberii Zachodniej, a wcześniej duszpasterza parafii białostockiej, oraz Hieronima Cerpentę, białostockiego proboszcza. Oskarżono także Aleksandra Sosenkę – uciekiniera z Polski. „Syberyjski podziemny Komitet POW – pisał Jeżow do Stalina – organizował polskie legiony powstańcze, dywersyjne i terrorystyczne grupy w miastach Irkuck, Krasnojarsk, Nowosybirsk, Tomsk i innych miejscach”.

Pretekst do represji dała podróż Jana Łagody, sekretarza polskiego poselstwa w Moskwie, i Mieczysława Lepeckiego, byłego adiutanta Józefa Piłsudskiego. Wybrali się oni w tamtych niespokojnych czasach przez Syberię do Kireńska nad Leną po ziemię z miejsca zesłania Marszałka, który, aresztowany w 1887 r. i skazany na pięcioletnie zesłanie, spędził tam trzy lata. Jeżow ogłosił, że Łagoda i Lepecki to agenci POW, którzy odwiedzili po drodze Filipowicza, żeby przekazać mu plan wzniesienia polskiego powstania na Syberii.

Ksiądz Groński ocalał – skazany jeszcze w 1932 r. na dziesięć lat łagrów za szpiegostwo, dzięki interwencji poselstwa litewskiego wydostał się w 1933 r. do Polski; ks. Żukowski zginął rozstrzelany jesienią 1937, a ks. Cerpento, ostatni katolicki duchowny na Syberii – w styczniu 1938 r.

Grigorija Gorbacza zaś nie ominął los wielu innych katów: po usunięciu Jeżowa w 1938 r. został aresztowany, skazany na śmierć i rozstrzelany w 1939 r.

„Zrobiło się straszno”

„Jak wspomnę ten dzień 1938 r., to nadal czuję na grzbiecie chłód – przedstawiała Agata Czyblis, siedemnastoletnia wówczas dziewczyna, akcję ostatecznej eksterminacji białostockich mężczyzn nocą z 11 na 12 lutego. – Tego poranka zaszłam jak zwykle do brygady kołchozowej po zadania i słyszę:

»Ty dzisiaj będziesz głównym gościem, idziesz po rozporządzenia rady wiejskiej«. Poszłam tam. Siedzi kierownik Tatkin i rozkazuje: tego trzeba wezwać, tamtego powiadomić. No to biegam na posyłki [...]. Wieczorem podjechało do rady około trzydziestu milicjantów na siedmiu wozach. [...] Przeprowadzono Alfonsa Szparkowicza, a on płacze i lamentuje: »Puśćcie mnie, moja żona niedawno urodziła bliźniaki!«. Odpowiedzieli mu: »Potem, potem...« [...]. Wozili i wozili mężczyzn, zatrzymywali w budynku rady. Potem odprowadzali aresztowanych do domu ludowego, tam zamykali, a sami wyruszali po następnych. [...] Przez całą noc przyprowadzano mężczyzn. Wśród nich także moich wujków – wszystkich trzech braci Maziuków.

[...]

Kiedy rozjaśniło się na dworze, taki skowyt słysząc było w całej wsi, że zrobiło się straszno. W domu dowiedziałam się, że mojego wuja Michała Maziuka przyszli zabrać, choć on chory leżał na półce koło pieca. Mimo to podnieśli go i chcieli już z nim z chaty wychodzić, kiedy upadł koło furtki i zaczął umierać. Wtedy go zostawili”.

Opuszczone kobiety rozpaczały, płakały przerażone dzieci. Ale jakoś trzeba było żyć, więc otrząsnąwszy się, gospodynie zaczęły wychodzić do stajni. NKWD zabrało tamtej nocy z Białegostoku 61 mężczyzn, których popędzono w kierunku Kołpaszewa nad Obem, podobnie jak ostatnich 15 aresztowanych cztery dni później.

Osierocona przez rodziców czternastoletnia Paulina Gruzdiowa, po mężu Onskul, została z piątką drobnego rodzeństwa pod opieką dziadka Wincentego Seńki. Jego również wywleczono z domu. Rano dziewczyna pobiegła do chrzestnej po ratunek: „We wsi panowała grobowa cisza. Wróciwszy do siebie, usłyszałam rzenie i muczenie głodnych, spragnionych krów i koni. Krowy były niewydojone” – wspominała. Tak było w każdym domu: opuszczone kobiety rozpaczały, płakały przerażone dzieci. Ale jakoś trzeba było żyć, więc otrząsnąwszy się, gospodynie zaczęły wychodzić do stajni.

NKWD zabrało tamtej nocy z Białegostoku 61 mężczyzn, których popędzono w kierunku Kołpaszewa nad Obem, podobnie jak ostatnich 15 aresztowanych cztery dni później.

I znów budują kościół

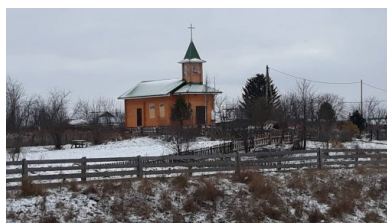
Właśnie wtedy ludziom odebrano kościół. Urządzono w nim magazyn ziarna, a po wojnie – klub z wódką i potańcówkami. Niewielu pamiętało, że kiedyś była tam świątynia – strach zamykał starszym usta. Podczas remontu fundamentów w latach sześćdziesiątych XX w. odkopano – jak wspomina Wasyl Haniewicz – szklany flakon z krzyżykiem i pergaminem zapisanym alfabetem łacińskim. Nikt nie potrafił go przeczytać, a w końcu

gdzie się zapodział.

Tymczasem władze zbudowały nowy klub i wciąż mówiły o rozbiórce „starego”, ale nikt go nie tknął do roku 1990. Wtedy we wsi pojawił się ks. Antoni Gzell (Anton Gsell) z Tomsk – jak apostoł obudził w ludziach tęsknotę do życia po Bożemu. Przez kolejnych osiem lat rozbierali starą świątynię i przenosili ją w nowe miejsce, na pagórek. Nowy-stary kościół poświęcono 13 czerwca 1998 r., na ścianach znów zawisł wizerunek św. Antoniego, a krzyż na dachu wskazywał drogę z tajgi do domu.

Tak było przez dziewiętnaście lat – aż do kwietniowej nocy tego roku [2017 - red], gdy świątynia, symbol trwania, spłonęła. Po tym pożarze ostatni drewniany kościół na Syberii pozostał w Wierszynie, sto kilometrów na północ od Irkucka.

Po pierwszym wstrząsie wierni znów ruszyli do pracy, ogłosili zbiórkę finansów, także w Polsce, na odbudowę. Bo mieszkańców syberyjskiego Białegostoku złamać niepodobna. [Kościół został odbudowany w roku 2019 - red.]



**Kościół św. Antoniego z Padwy,
spalony 19 kwietnia 2017 r. Fot.
sybir.bialystok.pl**

**Odbudowany kościół w
syberyjskim Białymstoku - stan
na październik 2019 r. Fot.
fb/@syberyjskibialystok**

Woda odłoniła prawdę, Andropow ją zabił

Przez dziesięć długich lat po 1938 r. kobiety czekały, a gdy wyznaczony czas minął, zaczęły słać pytania do różnych instytucji. Nie wiedziały jeszcze wtedy, że używane przez NKWD określenie „dziesięć lat bez prawa korespondencji” było synonimem wyroku śmierci. Wolały się łudzić i czekać na powrót najbliższych. Aż pewnego dnia w latach pięćdziesiątych we wsi pojawił się niespodziewanie aresztowany w 1938 r. Jan Jocz. Spędził dziesięć lat w łagrze na Kołymie, a po zwolnieniu pozostał tam na przymusowym osiedleniu, pracując jako traktorzysta. Otoczony przez tłum białostockich kobiet wypytyjących z nadzieją o swoich bliskich, powiedział: „Ja niczego nie powiem. Nie te czasy”. „Czując się winnym bez winy, bo pozostał żywym, kiedy los innych był nieznan, nie wytrzymał kobiecych łez i wypytywań, na które nie mógł odpowiedzieć, i już na drugi

dzień wyjechał z osady” – pisze Haniewicz.

Z prawdą o losie aresztowanych bliskich przyszło zmierzyć się białostoczanom w 1979 r., kiedy wiosenne fale Obu wydarły ziemi tajemnicę w Kołpaszewie, odsłaniając wielkie cmentarzysko. Setki zwłok zsuwały się ze skarpy do wody, a ludzie – chociaż rozpędzani przez KGB – zdolali rozpoznać kilka ciał zmumifikowanych w piachu, zanim zmasakrowały je turbiny sprowadzonego naprędce holownika. Część z nich popłynęła w górę rzeki, część kagebiści zdążyli obciążyć, by poszły na dno. Akcję nadzorował sam szef KGB, przyszły gensek Jurij Andropow, kierując poczynaniami tomskich funkcjonariuszy KGB i Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego.

1 maja 1979 r. Kołpaszewo wpisało się do historii Wielkiego Terroru jako miejsce ukrycia rozstrzelanych w latach 1937–1938 około dziewięćdziesięciu białostoczan, prawdopodobnie ponad pięćdziesięciu Polaków aresztowanych we wsi Połozowo, a także innych ofiar operacji eksterminacyjnych NKWD.

Według informacji podanych w 2015 r. na Facebooku przez rosyjskiego dziennikarza Siergieja Parchomienkę, w Kołpaszewie pamiętano, że pod koniec lat trzydziestych znajdowało się tam więzienie, gdzie dokonywano egzekucji. Ilu? Tego nikt nie wiedział. „W więzieniu kołpaszewskim – pisze Parchomienko – funkcjonowała fabryka śmierci: zbudowano specjalne drewniane koryto, po którym ludzie sami zsuwali się na dół rowu. Tam zabijano ich salwą z karabinu i czasem w razie potrzeby dobijano strzałami z pistoletu, po czym ich ciała dołączały do innych, tworząc kolejną, ciasno ułożoną warstwę. Na końcu sypano na nich trochę wapna. Cały ten proces powtarzano wiele razy, aż rów całkiem się zapełnił. Wtedy zasypano go piaskiem”.

Tylko wiosennej, rwącej wodzie Obu zawdzięczamy wiedzę o masakrze kołpaszewskiej. Ponieważ rosyjskie władze bronią dostępu do archiwów, możemy – zdani na kolejny przypadek – jedynie się domyślać, ile jeszcze takich dołów śmierci kryje ziemia południowo-zachodniej Syberii.

Tekst pochodzi z nr 10/2017 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ